

Brückner, Aleksander

Historya a filologia

Przegląd Historyczny 4/3, 265-282

1907

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

HISTORIA a FILOLOGIA.

Nowe sitko na kolek, stare pod ławę. Taką zasadę, zdaje się, stosuje najnowsza metoda historyczna, przynajmniej w świeżym dziele prof. *W. Czermaka* p. t. „Ilustrowane Dzieje Polski, tom pierwszy, od początków do X. wieku“ (Wiedeń, 1905, VIII i 337 str.) Czytamy tamże nieraz, np. na str. 138: „największe nadzieje przywiązuje historyografia społeczna do zdobyczy archeologii przed-historycznej—w nich obecnie szuka przedewszystkiem i spodziewa się znaleźć odpowiedzi na liczne, trapiące ją wątpliwości co do rozmaitych problematów z zakresu dziejów pierwotnych ludów europejskich... mało która nauka rozporządza tak obfitym materiałem danych t. j. zabytków, z których każdy daje świadectwo jakiemuś faktowi z odległej przeszłości, co archeologia“... itd.; podobnie na str. 134: największe nadzieje budzi obecnie archeologia itd. Więc filologia pod ławę, archeologia na kolek!

Otóż protestujemy przeciwko temu najsolennie i bronimy dawnej zasady: historia, mianowicie pierwotna, ma dwie główne pomocnice—filologię i socyologię; im oddaje z ufnością pochodnię do rąk, gdy jej światła ubywa. Dopiero, kiedy i te pochodnie gasną, wstępują archeologia i antropologia w swe prawa, a mdłym ich albo błędnym ognikiem, starają się badacze rozświecić mroki nieprzebyte.

Chcąc stworzyć dzieje polskie przed Polską, t. j. przed wiekiem X-tym, musiał autor co raz odwoływać się do wyników filologii, pomimo pewnej niechęci i niedowierzania, np. czytamy na str. 133 (a nuta ta przebrzmiewa nieraz): „lingwistyka porównawcza wobec omówionego dopiero co problemu dotąd prawie bezsilna.“ Co gorzej, przesładuje go jakieś fatum, mści się na nim widocznie sponiewierana filologia, bo każdy jego wywód filologiczny okazuje się z gruntu mylny. Obok filologii, próbuje, z wy-

nikiem nie o wiele lepszym, porównawczego traktowania dziejów słowiańskich, śledzi rozwój ustrojów i drobnoustrojów słowiańskich, południowych, zachodnich etc., i tworzy tym sposobem jakąś syntezę pierwotnych dziejów słowiańskich, uzupełniając ją materiałem archeologicznym. Uznajemy energię autorską, z jaką zwraca ona dotychczasowe traktowanie dziejów polskich na nowe tory, wstecz je przedłuża, cofa do pierwszych początków, ale zamiarowi nie odpowiedziało wykonanie.

Pomijam wywody archeologiczne, dla tej prostej przyczyny, że materiał archeologiczny jest bezimienny i nie wiemy, komu go przypisywać: Finnom, Niemcom, czy Słowianom? Archeolog zawołany, Niederle, autorytet i dla naszego autora, z niekłamaniem sceptycyzmem zapatruje się na wyniki własnej nauki, stwierdza bowiem, że tożsamość kultury nie stanowi jeszcze bynajmniej tożsamości etnicznej i naodwrot, różne stopnie kultury, t. j. zabytków jej kopalnych, nie dowodzą odmienności podkładu etnicznego. Filolog wnioskuje odmiennie: gdzie jeden język, tam i jeden lud, bo zlewanie się kilku ras czy ludów i przyjmowanie przez nie jednego języka wybiega w tak dalekie czasy, że z możliwością taką możemy się w teorii wprawdzie liczyć, lecz nie potrzebujemy jej w praktyce, z pewnymi wyjątkami, uwzględniać. Archeologia nie może przeprowadzić dowodu, żeby między Odrą a Bugiem tylko jeden i ten sam szczep przesiadywał w epokach neolitu, brązu, żelaza; mogły się szczepy i zmieniać, po Finach przychodzić Germanowie, po nich dopiero Słowianie. Na Węgrzech odwrotnie przedstawia się rozwój, występuje tam zanik kultury grobów „sarmackich“ w tak nieprzerwanym i stałym ciągu, że archeolog żadnej zmiany plemiennej, jaką dzieje co i raz wskazują, przypuszczać nie potrzebuje. Skoro jednak w pierwszym wypadku filolog dowiedzie, że wszystkie, i najdawniejsze nazwy, np. rzeczne (Warty, Wisły itd.) są wyłącznie słowiańskie, że niema między nimi żadnych obcych, to dowiódł, że ten sam szczep, co i w czasach historycznych, siedział na tej ziemi odwiecznie. Sama archeologia nie rozstrzyga nawet, czy zabytki epok, czasowo najbliższych, np. popielnicowej i grodziskowej, jednemu ludowi przypisywać należy: niektórzy archeologowie dzielą je przecież między Niemców a Słowian!

Albo cóż powie archeolog np. o złocie? Że niema go w grobach epok kamiennych w Europie, że pojawia się dopiero w późniejszych—stwierdza więc nagi fakt, a fakt ten można bardzo rozmaicie tłumaczyć: nietylko tym, że złota nie znano wtedy ani używano, ale i tym, że złota do grobów, zbywając zmarłych byle czym—np. popsutymi lub podłymi okazami broni itd.,—nie dawano (w Rzy-

mie zakazywały tego wyraźnie prawa dwunastu tablic). Filolog tymczasem dowie się z faktów językowych o wiele więcej, że np. Grecy przyjęli nazwę złota od Semitów, a łacińską nazwę kruszcu przejęli znowu Celtowie; chciano nawet Prusom i Litwie też samą pożyczkę narzucić, gdy wzamian za bursztyn złoto od Rzymian brali. Ale to niemożliwe, poprostu dla względów językowych, bo pożyczka prusko-litewska (a u s a s, a u k s a s z a u s o m = a u r u m), byłaby w takim razie wcześniejszą, niż celtycka! I o srebrze archeolog nie wiele powie nadto, że zjawia się ono jeszcze później, niż złoto; filolog zato wyczyta bardzo ciekawą historię, cały romans, z nazw tego kruszcu: słowiańskiej, italskiej i in.—Ciekawych odsyłam do dzieła O. Schradera, Sprachvergleichung und Urgeschichte, trzecie wydanie, Jena 1906 (II, 45—46). Czy domysły Schradera, Hehna, itd. pewnikami się okażą, to znowu inne pytanie; tu chodzi tylko o wykaz, czego od filologii a czego od archeologii spodziewać się należy.

Nie dziw więc, że archeolog Niederle, w przeciwieństwie do nie-archeologa Czermaka, w dziele o Starożytnościach Słowiańskich, którego się świeżo dalsza część (II, 1 „Pochodzenie a początki Słowian południowych“, Praga 1906, str. 280), pojawiła, wyłącznie na filologii się opiera. I tak dowodzi, że Słowianie dostali się do Panonii i do Dacyi nie dopiero w wieku VI, lecz że już w I i II wieku po Chr. sięgały wyspy i wysepki słowiańskie daleko na południe; że siedzieli Słowianie nad Błotami (Balaton, u starożytnych lacus Pelson, t. j. nasze Pleso, jezioro, porównaj Psków t. j. dawne Pleskow, po łacinie Plescovia, śląską Puszczynę t. j. Pless po niemiecku itd.); nad rzekami Wuką (rzymską Ulca t. j. vuk = wilk) i Wrbasem (od wierzb) pod osadą Serbinon czy Serbition (od nazwy Serbów); nad dopływem Dunajowym Czerną (Tsiernensis, w napisach rzymskich) i nad Brzawą (Bersovią rzymską, może Brzozową — pierwotną Berzową), wpadającą do Temeszu. Dalej — nazwa Cisy, występująca wcześniej jako Patissus t. j. Pociście (jak Powiśle itp.), i Granu (Granuas) u Marka Aurelego (tu dowodu niema żadnego), wskazują mu, nie jak dawniejszym badaczom, Szafarzykowi i in., iżby Słowianie stanowili odwieczną, pierwotną ludność na Węgrzech, między którą wtargnęły dopiero później szczepy iliryjskie, dackie, celtyckie i i., lecz, że między tych to aborygenów zeszedli luźni Słowianie od Karpat przesmykami i dolinami rzek aż nad Drawę i Sawę, do Banatu i Siedmiogrodu, w początkach naszej ery. Z tymi wywodami filologicznymi łączy on historyczne: wyraźną tradycję kijowską, prawiącą o Włochach (Rzymianach Trajanowych), nachodzących Sło-

wian i zmuszających ich do rozsypki (odgłos to wojen dackich) oraz ciekawą wiadomość o buncie Sarmatów-niewolników (Słowian) przeciw Sarmatom swobodnym (irańskim ich panom) z r. 334 i o wyrzuceniu tych panów pomiędzy Gotów i Rzymian.

Przyznam się, że te wywody mnie nie przekonały. Całość ich wywiera pewne wrażenie—gdy się jednak każdemu zbliższa przypatrzyć, budzą one silne wątpliwości. Gdybyż to Słowianie Błota Plesem nazywali—ależ właśnie, że zmienili nazwę, a o Plesie zapomnieli! Wuka jest konieczną sławizacją rzymskiej Ulki, nie potrzebuje być jej prototypem; Wrbas tak samo pojąć należy, przy nim razi przecież niesłowiańska końcówka. Złożenia z pa-są nie tylko słowiańskie, są one odwiecznie litewskie, a mogły być i dackie. Nawet Czerna, tak ponętna i pozornie przekonująca, nie rozstrzyga. Przecież sam Niederle odrzuca np. wywód nazwy *Oseriates* od *Jeziór* (ozer), *Akuminku* od Kamionki, *moczarów Luglen* od Ługow i tyle innych, przypadkowych podobieństw; możeż i Czerna do nich należeć. Że Słowianie wcześniej byli w Panonii, niż zwykle przypuszczają, na to się godzę stanowczo: za Atyli i Hunów napewno tam siedzieli: widział ich Priscus i zapisał słowa ich mowy (najciekawsze jednak znajdujemy dopiero u Jordana, *strawę* t. j. stypę Atylową). Ale żeby już od narodzenia Chr. się tam zapędzali, aż do Sawy i dolnego Dunaju dochodzili, o tym bym wątpił bardzo—uszliby więc zupełnie uwadze rzymskiej! A i w nazwach botanicznych dackich, u Dioskoridesa zapisanych, nie powiodło się odnaleść terminów słowiańskich, „przyjętych do nomenklatury dackiej“ (str. 168); w identyczność końcówek (*awa*) także nie wierzę. Nie wspomniał zato autor o najciekawszych głosach trackich (język tracki a dacki albo gecki były identyczne) tak zbliżonych do słowiańskich, np. *brilon* golarz (ruskie *brit'*), *pinon* piwo, *wriza* reż (litewski *rugys*, niemieckie *Roggen*: słowiańska, litewska i niemiecka nazwa poszły z trackiej, bo w Tracji reż najdawniej uprawiano—por. C. Meyer, *zu den Thrakischen Glossen, Beitrage zu den indogermanischen Sprachen XX*, 1894, str. 121); nawet frygijskie wedu naszej w o d z i e najbliższe. Wobec takiej bliskości tracko-dackiego języka i słowiańskiego, maleje siła dowodowa także owej Czerny do reszty.

Przechodzę do wywodów językowych prof. Czermaka. Potyka się on na każdym kroku, i w teorii i w szczegółach. Wychodzi np. na str. 120 z założenia, że najmniejszym zmianom uległ ten język, którego piastun najmniej się oddalił od pierwotnych siedzib. Że to założenie z gruntu mylne, dowodzi sanskryt, o wiele starożytniejszy, niż wszystkie, współczesne mu języki aryjskie (indo-

euuropejskie), chociaż piastun jego najbardziej od pierwotnych siedzib się oddzielił! A nie jedynie to przykład!

Na str. 122 dowiadujemy się, że „nazwa Słowian, jako wśród najdawniejszych (Wendów, Antów itd.) jedyna niewątpliwie rodzima, służyła na oznaczenie ogółu ludów słowiańskich już w czasach przedhistorycznych;“ nazwę naturalnie wywodzi się od „słowa“, w przeciwstawieniu do „Niemców“. Tymczasem Słowianom nigdy się nie śniło wytwarzać dla siebie nazwy ogólnej—żaden naród tego nie robił; wiemy przecież, jak późno i przypadkowo powstały takie nazwy ogólne, np. Grek, Allemand, Germanus itd.; cóż np. takie deutsch znaczyło („ludowy“, vulgaris, przynigdy „niemiecki“)? Nazwa Słowianie jest topograficzną proklamacją kilku luźnych szczepów; obcy dopiero rozszerzyli ją na wszystkie pokrewne ludy i szczepy i zrobili z nazwy szczepowej ogólną, jak Allemand, Walh—Włoch (z Volcae!) itp. Takie zaś powtarzanie się proklamacji szczepowych jest u Słowian zjawiskiem częstym; jeśli nazwa Słowianie powtarza się przy Nowogrodzie, na Słowaczyźnie, między Kaszubami, u Słowieńców i Bułgarów, toć również powtarza się nazwa Dudlebow, po rusku Dulebow (por. nazwę Duleba), na Wołyniu, u Czechów i między Słowieńcami; nazwa Serbow powtarza się na Łużycach i na Bałkanach; nazwa Chorwatów (po polsku Charwatów)—u Czechów, w Corbetha koło Hali, u Chorwatów ruskich, u Nestora wymienionych, i nad Adryatykiem; nazwa „Abotrytów“ nad Bałtykiem i nad Dunajem zachodzi. Umyślnie zwracam uwagę na takie powtarzanie się niezrozumiałych już haseł, czy nazw szczepowych, u Słowian; niemożna z niego nic osobliwszego wnioskować—jak to np. Niederle świeżo czyni. Nie może on pogodzić się z myślą, żeby czescy, ruscy, polscy (ależ ci należą do fantazyi, bo o „Chrobotach“ małopolskich milczą źródła nasze) i południowi Chorwaci mieli być pochodzenia odrębnego, lecz nazwiska wspólnego (II, 272). Wedle niego siedzieli w Zakarpaciu Chorwaci-Serbowie, pierwsi od gór Karpackich tak przezwani; ci ruszali na południe przez Karpaty i Dunaj ku Sawie, ale nie wszyscy—pozostali w Zakarpaciu inni Chorwaci; ruch masowy słowiański rozerwał te resztki Chorwackie, zapędził jednych do Czech (i Hali), innych na wschód (między Ruś), gdzie się z czasem zupełnie zczeszcyli albo zruszczyli, zachowując tylko pierwotną nazwę szczepową; ta bowiem, jako od Karpat rodem, nie mogła na kilku miejscach niezawisłe powstać, przy Hali itd. Cały rozdział (II, 5, str. 244—280) poświęca autor tej tezie o północnym gnieździe Chorwatów, uznając w opowiadaniu Porfirogenety o wędrówce Chorwatów z „Białej, nie-

chrzczonej Chorwacyi“, leżącej za Bawaryą pod władzą Franków, jądro ludowego podania. Nie mogę się na to żadną miarą zgodzić; w powtarzaniu nazwy Chorwatów nie widzę nic odmiennego od powtarzania się nazwy Dudlebów (na trzech całkiem odrębnych ziemiach słowiańskich), Serbów i Abotrytów (na dwu), Słowian (na pięciu), nie wspominając już o powtarzaniu takich np. nazw, jak Polanie, Drzewianie itp. Żeby zaś Chorwaci od Karpat przezwiska dostać mieli, na to filolog nigdy się nie zgodzi; nie wiem na pewno, co ta nazwa oznacza, są możliwe różne domysły—nie wspominając o dziwnym Porfirogenitowym („co wiele ziemi mają“); nie-mniej zagadkowym pozostaje złożone imię Dudlebów, niezłożone Serbów. itd. Dowody, jakie Niederle str. 267—270 z arabskich źródeł przytacza, o istnieniu wielkich ziem słowiańskich Antów i Chorwatów na Rusi jeszcze w IX wieku, mnie również nie przekonały; wiemyż, co o nazwach arabskich sądzić, jak je każdy badacz inaczej czyta i inaczej wyklada. Znakomita rodzima tradycja kijowska nic o takich ziemiach nie wie, więc Wantit i Chordab IX wieku budzą we mnie jeszcze mniej ufności, niż Kujaba, Slavia i Artanja źródeł arabskich X wieku. Twierdzenie zaś, jakoby Masudi, wymieniający wyraźnie Chorwatów, tylko o północnych Słowianach pisał, a więc i jego Chorwatów tamże na północy osadzać należało, jest mylne: mówi on przecież i o Braniczewcach naddunajskich (przeciw str. 275)! Takim sposobem nie uznaję wcale obu głównych wyników, do jakich Niederle świeżo doszedł: ani dowiódł on sporadycznego pojawiania się Słowian w Panonii i Dacyi już od pierwszego wieku naszej ery, ani też istnienia jakiejś wielkiej Chorwacyi w Zakarpaciu, której rozbitkami byliby Chorwaci czescy, ruscy, południowi i inni. Opowiadanie Porfirogenety jest kombinacją uczoną, podobnie jak opowiadania „Nestora“ o nacisku „Włochów“ na Słowian naddunajskich, jak wywodzenie Czecha i Lecha z Chorwacyi przez naszych i czeskich kronikarzy. Przecież z taką samą pewnością opowiada Porfirogeneta i o wielkiej, niechrzczonej, białej Serbii na północy, obok białej Chorwacyi, w pobliżu Franków;—tu już i autor (Niederle) musi przyznać sam, że takiej białej Serbii na północy, nad Wisłą, odszukać nie zdołamy. Nie przyjmując tych wywodów, nie ubliżam bynajmniej nadzwyczajnej wartości samego dzieła, imponującego olbrzymią erudycją, zadziwiającego wprost opanowaniem materiału niesłychanie bogatego; dzieło to pozostanie trwałym skarbcem wiadomości starożytnych słowiańskich, na zawsze. Chętnie przyznaję—ile to się z tego dzieła nauczyłem, jak wysoko je cenię i pragnę gorąco, żeby je autor jaknajrychlej dalej posunął. Poświęcone cie-

niom Szafarzyka, wielkiego imienia daremnie nie wzywa; jest jego godne; waruje Czechom ponownie pierwszeństwo w badaniu dziejów Słowian pierwotnych: siedemdziesiąt lat, jakie obu badaczy dzieli, nie przeszły bez śladu, zmieniła się, zubożyła nauka, metoda, źródła, przybyły nowe umiejętności pomocnicze a uwzględnił je i nad wszystkim starał się zapanować autor czeski.

Wracamy do wywodów etymologicznych prof. Czer m a k a. I znowu spotykamy zasadę najmylniejszą: „nazwa pochodzenia obcego, ksiądz-kniaź z K u n i n g, dostała się do języków słowiańskich dla tego, że nie było w językach tych nazwy rodzimej, która oznaczała naczelnika plemienia, a nie było takiej nazwy niezawodnie z tej przyczyny, ponieważ nie było pierwotnie u Słowian odpowiedniej instytucji; instytucja przyszła stąd, skąd pochodziła nazwa, została zapożyczona od Germanów“ (str. 239.) Czyż Słowianin o mleku dopiero się od Niemca dowiedział, skoro je z niemiecka przezwiał? Czyż szlachta polska jest instytucją niemiecką, dlatego, że nazwę niemiecką nosi? Dochodzi też autor do wniosków fantastycznych (str. 238); wedle niego „nazwa żupana jako określenie naczelnika związku plemiennego nie przyjęła się u wszystkich Słowian, bo na zachodzie, północy i wschodzie plemiona słowiańskie wcześniej zaczęły się poznawać z inną, obcą instytucją jednowładztwa... z instytucją władzy książęcej germańskiej.“

Załatwim się najpierw z zasadą samą. Autor analizuje nazwy przełożęstwa, wywodząc co znaczą żupan, bojarzyn, kmieć, wiciądz, smard, dziedzić itd., poczym bada instytucje, funkcje żupanów, wiciędzów, włodyków, kmieci itd., u Słowian zachodnich głównie, mniemając, że pod najazdem germańskim skostniały formalnie, zatrzymały się we wcześniejszej dobie rozwojowej te instytucje; podejmuje zaś to wszystko, aby rozświecić pierwotne różniczkowanie społeczne słowiańskie i jako z zupełnie sobie równych wolnych, wytworzyły się warstwy: wielmożów, wolnych, niewolnych. Zapomina jednak, że nawet mikroskopowe badanie stosunku żupanów, wiciędzów i smardów nadłabskich niczego nie dowiedzie; że nie padnie z nich żadne światelko na stosunki polskie, ruskie, ogólnosłowiańskie; parę stronic, jakie im poświęcił, najzupełniej zmarnował. Ci Słowianie nadłabscy znajdowali się już od X wieku w stosunkach z polskimi, ruskimi itd.—najmniej nie licujących, bo poddańczych, pod narzuconym jarzmem niemieckim, pozbawieni klas wolnych i wyższych: czegoż się po nich spodziewać? Dalej, instytucji i nazwy, ustalonej u jednych Słowian, niewolno przenosić na innych — błąd, co i raz przez autora popełniany. Żupan był u Serbów i Chorwatów naczelnikiem plemienia, ależ to serb-

sko-chorwacka ewolucja specjalna, innym Słowianom zupełnie obca! U Słowieńców styryjskich i nadłabskich byli żupani starostami wiejskimi—lecz to znowu ewolucja specjalna, o jakiej się w Czechach, Polsce, na Rusi, zarówno jak i o owej serbsko-chorwackiej, ani śniło! Właśnie u każdego ludu, ba! nieraz w każdej epoce, taż sama nazwa całkiem coś innego oznacza. Wiemy przecież, jak nisko spadli włodyki polscy, niemal aż do gołoty nieosiadłej—tymczasem pierwotnie nazwa *włodyka* samego księcia plemiennego oznaczała, zanim jej nie poświęcono obcej,—Kuningowi. A więc instytucja Kuningów-książąt była Słowianom dobrze znana, zanim się z nazwą obcą spotkali; że zaś obcą przyjęli, zawiniło owo odwieczne małpiarstwo słowiańskie, owo „czużebiesie“, (jak je słusznie panslawista Krizanić w XVII wieku ochrzcił), co to bez przyczyny i sensu rodzime nazwy i słowa poświęca, aby je obcymi zastąpić—właśnie nasz język zastraszające tego przykłady nasuwa. Więc ustalenie znaczenia żupana itp. u jednych Słowian bynajmniej nie przesądza znaczenia tejże nazwy u innych; cóż dopiero, jeśli, jak to u prof. Czermaka stale bywa, same podstawowe, etymologiczne wywody, z gruntu są mylne.

Weźmy nazwy żupana i bojarzyna, aby wykazać, na jakie to manowce autor zabrnął. Nazwa bojarzyna pochodzi wedle niego od boju i oznacza dziedzica—wojownika na Rusi,—toż samo co wiciądz-witeż u innych Słowian; witezie czy bojarowie nie przestawali być, wskutek szczególnego oddania się zawodowi wojskowemu, dziedzicami itd. (str. 302). Co do żupana zaś czytamy na str. 232: „możemy uznać to za rzecz prawie niezawodną, że pierwotnie u Słowian używano przeważnie na oznaczenie instytucji związku rodowego wyrazu żupa. Pierwiastek tego wyrazu istniał już w sanskrycie, gopa strażnik: żupa oznaczała pierwotnie obszar ziemi strzeżony a żupan oznaczał pana, naczelnika zastępu ludzi, osiedlonych na pewnym obszarze, należących do jednego rodu; dopiero później służą te nazwy całym nagromadzeniom związków rodowych, zapelniających rozległe terytoria... nazwa żupy oznaczała pierwotnie związek rodowy i zarazem terytorium, na którym dany ród siedział... zwierzchnicy żup mogli się pierwotnie nazywać żupanami wszędzie tam, gdzie była w użyciu nazwa żupy“ (str. 235). Niestety, w tym wszystkim niema ani cienia prawdopodobieństwa!

Bojarowie nigdy wojownikami nie byli, milites byli zawsze czymś wyższym, senatem, od boju zaś nazwani być nie mogą, bo starsza forma tej nazwy ma l, bolare, bolarin w źródłach starobułgarskich; dopiero w późniejszych, ruskich, ustala się forma nie-

pierwotna, z jotą, jaką i myśmy przyjęli: *bojarzyn*; najdawniejsza to pożyczka nasza od Rusi; zrozumieliśmy go, jako bojownika, a „pugil“ tłumaczą go glosy średniowieczne. Nazwa ta wcale nie jest słowiańską, ale obszernie wywody Meliorańskiego i Korsza, poświęcone tej nazwie w Izwiestjach Akademii Petersburskiej, i wywodzące ją od Altaju, są również mylne, bo opierają się na młodszej, zamiast na pierwotnej formie (w tomach VII—X). *Bolare*, senat, synklit, dostojnicy najwyżsi państwowi, nie *milites*, noszą nazwę też samą (—lar końcówka liczby mnogiej tylko?), co i *bylja*—dostojnik, od tureckiego *bojla*: wysoki (już w napisach orchońskich, por. Meliorański, Izwiestija VII, 2, str. 285 i nn., u Korsza, tamże VIII, 4, 35 i t. d.) Owo *bylja* powtarza się nieraz w starobułgarskim kodeksie supraślskim w znaczeniu dostojnika, a i Grecy nazywają tak dostojników bułgarskich, *βουλάζ*.

Tento *bylja*, od którego *bolar*, *bojar*, za Miklosiczem wywodzę, pojawia się razem z *żupanem* w znanym napisie na misie złotej ze skarbu, odszukanego w Siedmiogrodzie, w Nagy-Szent-Miklós w r. 1799 (dziś w Muzeum wiedeńskim). Skarb ten przypisywano niegdyś Słowianom, Hunom albo Gepidom; napis tej misy cały ze Słowiańszczyzny wywodził; odnoszono go do IV—V wieku. U nas wspomniał ostatni o misie i napisie Dr. Leciejewski w dziele o Runach 1906, str. 41, przytaczając iście potworne tłumaczenie napisu Hampela; lepiej informuje o nim Niederle II, 166. Archeologowie przesunęli dziś znacznie wiek tego zabytku,—na IX raczej, i przypisują go awarskiemu lub bułgarskiemu książęciu. Napis zaczyna się od słów *βουηλα Ζοαπαν*; czytam je *bojla żupan* t. j. wysoki żupan; dalszych nazw oznaczyć nie umiem, są oczywiście turskie. Mimowoli rodzi się wątpliwość; jeśli na pewno *bylja* (słowiańskie *y z u j*, *o j* powstało) z turskiego pochodzi, czyż i *żupan* nie tegoż początku? Mielizby Awarowie czy Bułgarowie (pierwotni, niezesłowiańszczeni jeszcze), od smardów słowiańskich nazw dla własnych dostojników pożyczać? U Madjarów jednak taki fakt istotnie zachodzi, więc i tu byłby możliwym, chociaż zresztą odwrotnie Słowianie od nomadów nazw pożyczali, np. *bana*, *chagana* (tak jeszcze Włodzimierza Wielkiego tytułują), *bolarów*. Jeszcze inną możliwość poruszył Niederle; wedle niego jest *żupan* wyrazem dackim, a od Daków Słowianie je przejęli: *diuppaneus dacus* czytamy na napisie rzymskim; *Diurpaneus*, zamiast *Decabalus*, zowią niektóre źródła króla dackiego. Sama forma *żupan* jest przytym niesłowiańskiego wyglądu: od *żupy* były *żupnik*, *żupiec*, *żupek*, *żuparz* wreszcie (nasi *zuparii*), nie *żupan*; jeżeli *żupan* jest pochodzenia obcego, to *żupę* dopiero od niego

przezowano, nie odwrotnie. Jedno pewne, że wywód żupy od sanskryckiego gopa do bajek należy. Nie tu miejsce tego dowodzić, nadmienię tylko, że specyficznie sanskryckiego złożenia, jakim gopa jest, i całkiem fantastycznej formy ge u p a (z której jedynie żu p a powstać mogła), nigdzie zresztą nieistniejącej, nieprawdopodobnej nawet, mimo powagi Brugmanna, przenigdy z żupą nie połączymy. Zresztą, możemy wywieść z samych języków słowiańskich, że żu p a, żu p a n, nigdy do związków rodowych się nie odnosiły, że są im zupełnie obce. Wiemy, czem u nas żupy były: dochodem, czy z soli, czy z opłat np. sądowych. I to jest pierwotne żupy znaczenie; artykuł to, czy pozycya dochodowa — żupan nią zawiaduje. W starobułgarskich tekstach czytamy o żupanie kupieckim i o żupanie karczmarskim, tj. o urzędnikach, zawiadujących dochodami z ceł i karczem; łatwo też zrozumiemy, dlaczego starosta wiejski, odpowiadający przed właścicielem czy księciem za dochody wiejskie, żupanem w Styryi, jak i nad Łabą się nazwał. Żupan serbsko-chorwacki awansował z urzędnika na naczelnika całej ziemicy; nad niego wzniósł się jeszcze „wielki (bojlu) żupan.“ I u nas byli żupani, żony ich zwały się żupaniami; nasz pan i pani to resztki żupana i żupani, przechowanej w pruskim języku, co ze staropolskiego wszystkie terminy kulturalne przejął.

Twierdziłem już dawniej, że pan i pani z żupana i z żupani poszły; nie przedstawiałem jednak na to dowodów. Wiadomo, że polska nazwa kasztelana była pan; pan wojnicki itd. zawsze kasztelana wojnickiego oznaczał — pan wojnicki jest tylko żupanem wojnickim pierwotnie, jak „bobrowy pan“ bobrowym żupanem, (por. wyżej starobułgarskiego żupana karczmarskiego lub kupieckiego). Ci żupanowie — panowie zawiadują grodem i jego dochodami, ba! dobrami książęcymi itd.; nie dziw, że wobec ciągłego stykania się z ludnością, ich właśnie tytuł uogólniono z czasem i zastąpiono nim dawnych gospodnów. Częste używanie tytułu sprowadza zawsze jego skrócenie, przybierające nieraz najdziwaczniejsze rozmiary. Któżby się np. spodziewał w Aśce = Waszą Miłość Dobrodziejkę odnaleźć, albo w ruskim d a s: da gospodar! Z księżę w staropolskim zrobiono ksze (por. ksieni z księginii); my jeszcze dziś książęcia w księcia ściągamy. Tak samo było z żupanem; w ciągłym używaniu zeszedł on na ż p a n a (jak cesarz na czarz, carz) a ten znowu na p a n a. Że forma ż p a n istniała długi czas, na to mamy dowody.

Wiemy, że żupan po węgiersku i s p á n (z czego Niemcy gespan, gespanschaft = comitatus, zrobili), ale nikt dotąd nie wytłumaczył, jakim cudem z żupana i s p á n powstał; niemożliwe to

poprostu; słowiański żupan musi brzmieć po węgiersku żupan. Otóż do Węgier przeszła forma skrócona żpan, a ich język dodał samogłoskę i, gdyż Węgrzy nie wymawiali zbitki spółgłoskowej w nagłosie; jak ze Stefan powstaje Istvan itd., tak ze żpan powstał ispán. Najznakomitszy znawca słowiańsko-węgierskich stosunków językowych, prof. O. Asbóth w Peszcie, moje wywody zupełnie przyjął; jemu zawdzięczam cytaty dawnego span ze słownika węgierszczyzny średniowiecznej (dyplomaturyuszowej): u Kezy, ex his etiam Hunis plures fuerunt in exercitu capitanei constituti, qui Hunnorum lingua Spani vocabantur; w dokumencie z r. 1322: cum duobus stagnis Spantowa et Folutoua (staw Szpana i staw wiejski). W języku staroczeskim są ślady, że pan w nagłosie miał jeszcze o jedną spółgłoskę (żpan, chpan?) więcej. Jak wiadomo, słowo pan pojawia się tylko u zachodnich Słowian (od nas dopiero na Ruś przeszło); kto zna stosunki awarsko-czeskie, w owym wywodzie pana nową wskazówkę turskiego pochodzenia słowa żupan mógłby odnajdywać.

Z żupana mogła powstać nazwa żupy w ten sam sposób w jaki od gospodzina poszła nazwa gospody t. j. karczmy, domu gospodzkiego (pańskiego; karczma przecież, to jedna z najdawniejszych „regalii“) Tu wtrączę, ponieważ u nas widocznie o tym nie wiedzą, że węgierskie gazda, z czego nasz gazda t. j. gospodarz na Podhalu powstał, samo znowu z gospody poszło; jak Węgrzy urabiają z wojewody — wajdę, taksamo z gospoda gazdę zrobili, wedle trafnego wyvodu prof. Asbotha. Wywód ten byłby niemożliwy, gdybyśmy z wydawcą księgi sądowej brzesko-kujawskiej w zapisce z r. 1418 już gazdów znajdowali, bo nie mogłaby tak wczesnie pożyczka węgierska do Brześcia dotrzeć. „Gaszdami“ tej zapiski (nr. 600) należy czytać: jazdami, bo skarży się Floryan, że stracił dwie grzywnie na niepotrzebne jazdy, na jakie go Piotrasz naraził; pisownia wprowadziła wydawcę w błędne zrozumienie tekstu; tak samo piszą Gan, t. j. Jan itp.

Pierwotna nazwa możnych brzmiała więc nie pan, jak prof. Balzer (w recenzji dziełka Kutrzeby) sądzi, lecz gospodzin: w naszych oczach, w psalterzu Floryańskim, ruguje nazwa pan stale nazwę gospodna; pierwotne psalterza tłumaczenie, dla Kingi w XIII wieku robione, miało wszędzie gospodnow; ostatni pisarz (z końca XIV wieku) wszędzie już panow położył. Tak upadają wszelkie wywody prof. Czermaka co do żupanów. Równie niefortunnie wie dzie mu się z analizą innych nazw, z dziedzicami, których zbyt daleko w przeszłość odsuwa; z wiciędzami, którym poradzić nie umie, wreszcie — z kmieciem; że to słowo obce,

na czole mu napisano i innego wywodu niż od komesa łacińskiego nie wymyślisz. Że znaczenie jego chwieje się od barona do chłopą, przy tytułach bynajmniej nie zadziwia; stwierdziliśmy właśnie przy włodyce podobne zsuwanie się na dół. Nomenklatura słowiańska pierwotna żupanów, kmieciów - komesów, kniaziów-księdzów, cesarzy i króli (od Karola wielkiego, jak tamci od Caesara) nie znała; jej wystarczali gospodź i gospodzin, wojewoda, włodyka, starosta, sędzia, skala zupełnie odpowiadająca wymaganiam późniejszym. Wiemy też, jak się później trudzono, aby nomenklaturze łacińskiej przeciwstawić jakąś domową, np. polską, jakto np. castellana nawet grodzodzierżą przezywano, lub cześnikiem, (od czci, dignitarius, co u nas później pomieszano z czasznikiem od czaszy; por. podczaszego).

Prócz niefortunnych wywodów nazw stanowych i innych, powtarza autor za innymi nietrafne korzystanie z filologii. I tak, chciałby koniecznie uratować z rozbioru nazw miejscowych wskazówki co do pierwotnego osiedlenia i rozmaitych faz własności rodowej i indywidualnej, trzymając się znanej teorii Wojciechowskiego. Twierdziłem nieraz, że nazwy na -ice i na -ow (in), są to tylko gramatycznie różne kategorye, nie socyalnie, że oznaczają toż samo, że niewolno opierać na kategoryach czysto gramatycznych kategoryj socyalnych. Nazwy na -ice lub -ow wymieniano też nieraz; własność indywidualna przybierała chętnie formę gramatyczną, niby rodową. Jeden z najciekawszych, acz późnych na to przykładów, mamy ze Śląska: w r. 1306 Lucas, filius quondam Domizlai, et uxor de hereditate ipsorum *Lukaschowicz dicta, que olim Domslawicz vocabatur* etc. u (Peiskera wedle Meitzena cytowany); a więc indywidualna własność Domysława i Łukasza przybiera formę rodowej nazwy i zmienia się z ojca na syna! (dlatego też, jak słusznie zauważył Peisker, niemożna nieraz odszukać dawnych miejscowości; nie zniknęły one, tylko zmieniły nazwę, jak Łukaszo-wice miejsce Domysławic zajęły). Nazwy na ice czy na ow niczego nie rozstrzygają; zresztą już w X wieku, jak widzimy nad Łabą przynajmniej, stosunek np. nazw odosobowych i rzeczowych od flory, fauny itd., jakie przygródkami nazwał Wojciechowski, jest ten sam, co i w półtyśiąca lat później. Dla historyi z tego pożytku niewiele; czas wielki porzucić to wnioskowanie.

Tu więc wzywał autor filologii na darmo; tam zaś, gdzie ona istotnie rozstrzyga, o jej pomoc nie dbał. Rozprawia np. na dwu miejscach o mitologii słowiańskiej, jak zawsze, bardzo ostrożnie, z umiarkowaniem; dochodzi jednak na str. 331 i nn., do wniosków, od których właśnie filologia byłaby go uchroniła. Twierdzi np.,

że „do rzędu bóstw, co używały w świecie słowiańskim czci o najszerszym terytoryalnym zakresie, można zaliczyć przede wszystkim Swantewita i Peruna“; do jądra mitologii słowiańskiej, do cech jej właściwych wcale nie dociera, gubi się w nic nieznaczących ogólnikach.

Rzecz zaś z mitologią słowiańską ma się w krótkości tak: Rozpatrując autentyczne nazwy bóstw: Świętowita, Jarowita i innych Witów, Trzygłowa i Swaróżyca (imię odojcowskie, *jedyne* zarazem ogólnosłowiańskie bóstwo, które znamy, bo wszystkie inne do bajek należą), Wielesa-Wołosa, Dadzboga, konstatujemy odrazu zasadniczą ich różnicę od nazw np. litewskich lub italskich; gdy u Litwinów i Italów bóstwa wcale od samego zjawiska nie oderwano (np. nazywają się litewscy bogowie piorunem, leśnym, zwierzęcą, ziemną itd.), i z nim razem ono się spływa, a o osobnych wizerunkach, słupach czy obrazach, niczego się nie dowiadujemy, ucłowieczył natomiast Słowianin swe bóstwa, podniósł się więc znacznie wyżej na szczeblu koncepcji mitologicznej. Jego nazwy boskie nie oznaczają już samych sił przyrody: Pogody, Pioruna, Ziemi, Ognia itd., lecz bogów w postaciach ludzkich, a raczej nadludzkich (z trzema głowami itp.), duchy władne, antropomorficzne. Właśnie dlatego rozstrzebił się kult prasłowiański znacznie u rozmaitych Słowian i niewolno nam w żaden sposób, wobec milczenia źródeł, odrywać np. Świętowita od Arkony i szerzyć go dowolnie po Słowiańszczyźnie, gdzie dla niego wcale miejsca nie było. Świętowit arkoński albo Jarowit hawelberski (obie nazwy są to zresztą równoznaczne dublety: *ś w i ę t y t y l e c o j a r y*, t. j. silny, por. *Ś w i ę t o p e ł k = J a r o p e ł k*, *Ś w i ę t o s ł a w = J a r o s ł a w* i t. d.), są to bóstwa lokalne, herosowie lokalni, których kult tylko na miejscu był możliwy. Swoją drogą może z czasem kult lokalny nabrać szerszego znaczenia, jak było ze Świętowitem ruskim; tego jednak łączyć z Pseudoświętowitem ze Zbruczca (nawet gdyby ów pomnik był najzupełniej autentyczny t. j. prastary, o czym jeszcze bardzo wątpię; słowiańskim nie może być w żaden sposób, może być awarskim lub pieczenieskim), niema najmniejszego prawdopodobieństwa. Skonstatowawszy ów antropomorfizm teologii słowiańskiej, jej kult herosów (co tylko lokalne być może), powątpiewamy, czy Piorun kijowski (o innym nigdyśmy nie słyszeli), był bóstwem ruskich Słowian — czy to nie raczej Tor normański?

Na takięto wnioski, wręcz wnioskom autora przeciwnie, naprowadza filologia, trafnie użyta. Zupełnie też pominął autor próby odtwarzania za pomocą języka pierwotnej kultury narodowej. Autor podobnego dzieła o dziejach Ukrainy-Rusi, prof. Mi-

chał Hruszcze wski, z wielką energią i z niezgorszym powodzeniem wdał się w taką paleontologię lingwistyczną i zestawiał dosyć barwne obrazy bytu pierwotnego, praruskiego; nasz autor sceptycznej na rzecz się zapatrywał i o nic podobnego się nie pokusił, naszym zdaniem, bardzo niesłusznie.

Znacznego niedoboru filologicznego nie pokrył więc autor niczem: archeologia, traktowana choćby najumiejtniej (a jak jej jeszcze daleko do tego!) braku tego nigdy nie zastąpi. A są i inne niedobory w książce prof. Czermaka; nie mówię o etnologicznych ani o socjologicznych, ale np. historyczne. I tak powtarza autor bez zastrzeżeń bajkę o jakimś wielkim państwie słowiańskim Samona; wiemy przecież, co o przechwałkach „Fredegarda“, chełpiącego się swoim ziomkiem, lecz nie mającego wyobrażenia o Słowianach i ich siedzibach, sądzić należy: Samo to awanturnik, po którego śmierci nieznaczna władza, wcale nie zorganizowana, natychmiast się rozpadła (por. program Otok, Niemeczka, das Reich des Slavenfürsten Samo, Mor. Ostrawa, 1906). O Cyrylu i o Metodym powtarza autor same stare plotki, a oprócz nich daje się zwodzić nowym bajkom ks. Czajkowskiego, co o jego krytycznym zmyśle wcale niekorzystnie świadczy. Lecz nie wdaję się w te szczegóły; moim zadaniem była tylko częściowa polemika, w celu obrony znaczenia i roli filologii w dziejach pierwotnych, bynajmniej zaś wyczerpująca ocena całej książki prof. Czermaka.

W książce tej raz i zresztą brak nowych myśli, ciekawych pomysłów; autor stara się tylko o chronienie tradycji, o godzenie sprzecznych poglądów, o unikanie wszelkiej jednostronności. Na przeciwnym biegunie stoi książka J. Peiskera: *Die aelteren Beziehungen der Slaven zu Turkotataren und Germanen und ihre socialgeschichtliche Bedeutung*, 1905, 243 str. (odbitka z *Vierteljahrschrift für Social- und Wirthschaftsgeschichte* III, Stuttgart 1905); książka obfituje w tyle nowych myśli, tak przewraca ustalone dotąd mniemania, że możnaby ją wręcz nazwać rewolucyjną. Autor jej znany jest ze swych poglądów, (które u nas np. prof. Balzer (w *Kwartalniku Historycznym* odpierał), np. na zadrugę, w której dawność nie wierzy i opartemu na niej komunizmowi słowiańskiemu przeczy, albo na stosunki słowiańskie pierwotne, w których zawsze tylko ujarzmienie, czy przez Germanów, czy to przez stepowców, uznaje. Ostatnie poglądy, głoszone dotąd raczej urywkowo, przygodnie, w tym nowym studyum uzasadnił najzupełniej; jest to dopiero początek całości a mimo to już teraz można o niej nieco wyrokować; czynimy to tem bardziej, że Peisker właśnie filologią

w wysokim stopniu się posługuje i o zdetronizowanie jej na korzyść archeologii ani myśli.

Hipotezy Peiskero we odsądzają Słowian od wolności; że Germanowie nad nimi tylokrotnie zapanować zdołali, to skutek dawnego, stałego ujarznienia Słowian przez stepowców, co ich siłę odporną wyssało—nie darmoż nazwa europejska niewolnika (Sklave i t. d.) jest etniczną: od Słowian. Od najdawniejszych więc czasów panowali stepowi nomadzi, pasterze, hodowcy bydła, mleko - i mięsożerni, nad Słowianami, zmuszając ich do uprawy roli, do wegetaryanizmu; dwuwarstwowość: u góry rządząca klasa żupanów - pasterzy, turkotatarskiego pochodzenia, u dołu smardowie - rolnicy słowiańscy, oto właściwa cecha pierwotnego ustroju słowiańskiego. I jakżeż to niżej dowodzi Peisker tej hipotezy, niweczącej rajska idylę prof. Czermaka o pierwotnej wolności wszechsłowiańskiej? Głównie językiem, filologią.

Z sanskryckiego gopa stróż, wartownik, wywodzi Peisker żupę-wartę, straż i miejsce strzeżone, regio pastoria, pastwisko, do czego żupan, pasterz a później i pan przybywa. Żupanom-pasterzom, nomadom, przeciwstawia wszędzie smardów - rolników; gdzie, jak np. u Czechów, niema śladów po żupanach, gdzie sam dynasta (Przemysł czy kto inny przed nim) był chłopem-rolnikiem, tam zrzucili słowiańscy smardowie jarzmo turskich żupanów. Że u Słowian miejscami hodowli bydła wcale nie było, wiemy np. wyraźnie z Porfirogenity, wedle którego Ruś bydło od Pieczeńegów kupowała, bo sama żadnego nie posiadała; że hodowla bydła i spożywanie mleka czasowo u Słowian pod najazdem żupanów turskich zupełnie ustawały, widoczne stąd, iż Słowianie dla najważniejszych produktów tej hodowli, dla mleka i twarogu, germańskim i turskim słowem się wyręczają. Źródła, np. Fredegar i Nestor o Awarach, pouczają nas, jakiego rodzaju było to panowanie—grabież; analogia dzisiejszych nomadów rozbójniczych, Turkmenów, dopełnia szczegółów. Niewola turska i germańska sięga u Słowian nie dopiero Hunów i Gotów; oba ludy późniejsze etapy tegoż samego, pierwotnego procesu, przedstawiają; pożyczki germańskie w języku prasłowiańskim wyprzedziły znacznie zjawienie się Gotów; nieliczne rzesze dolnoniemieckie zawładnęły już dawno Słowianami, zanim jeszcze Gotowie z północy klinem między Germanów i Słowian się wbili. Turscy nomadzi, zapanowawszy nad Słowianami, mogli łatwo przejmować język słowiański, zesłowiańszczyć się, por. Bułgarów, por. Ruś normańska. I to proces odwieczny: język dowodzi, że Scytowie byli irańczykami, kompleksy zaś ciała i koczowniczy sposób życia (nigdy żaden szczep aryjski

koczownikiem nie był), że są turkotatarskiego początku, a więc, że są to zaryzowani Turkowie; podobny proces i między Słowianami się odbywał. Dwuwarstwowość pojawia się u niektórych Słowian jeszcze w czasach okupacji germańskiej, np. nad Łabą i w Styryi, gdzie o żupanach i smardach po wsiach źródła prawią; na Rusi żupanów niema, bo Normanowie ich wytępilli, zostawiając samych smerdów obok siebie; instalacja księcia Korutańskiego na owym kamieniu pod Celowcem jest przeżytkiem z czasów, kiedy zwycięscy smerdowie przeciwko powrotowi żupańskich rządów—grabieży skutecznie się obwarowywali: chłop książciem się stawał, powoływany do tego zaufaniem chłopów, nakładających nań twarde warunki, uderzających po licu przyszłego księcia (nie darmoż oburzali się tak na szczegóły tej instalacji panowie austriaccy!) I obrządek narodowy czeski przy instalacji książęcej, charakter chłopski jego władzy (przez ubiór chłopski, Przemysłowy) dobitnie wyrażał.

Oto w najgrubszych rysach teoria Peiskerowa, obstawiona źródłami, analogiami, kombinacjami wszelkiego rodzaju. Całą pomysłowość autorską trudno i ogarnąć—tak tłoczą się nowe myśli i pomysły, sprawiając, że czyta się książkę z najżywszym zajęciem, jak romans, że odczytawszy ją do niej wraca się napowrót. Nawet nie pisząc się na główne wywody autorskie, dowiesz się z tej książki wielu ciekawych rzeczy i trwałą z niej odniesiesz korzyść; i dlatego też uwadze naszych historyków gorąco ją polecam. Co sam o niej sądzę, krótko wyrażę, chociaż trudna polemika z autorem, uprzedzającym wszelką zaczepkę, obstawiającym się lasem argumentów, mniej lub więcej dowcipnych, nieraz olśniewających wprost, zdumiewających.

Przeczę samemu założeniu, znaczeniu żupy i żupana pasterkiemu, jakie w nie Peisker z fałszywej etymologii Brüggmannowej włożył; jużbym raczej żupana wprost od perskiego *szubana* (pasterza, stąd turecki i nasz *czoban*, *czaban*) wywodził, chociaż i to całkiem nieprawdopodobne. Również nie uznaję argumentu od *mleka* i *twarogu*: o ostatnim wiem na pewno, że Niemcy go od nas (*Quark*), przejęli, przyczym się jednak od dalszych wniosków wstrzymuję; żeby zaś to słowo (utworzone jak np. *pirog*, *pieczywo* dla *piru* t. j. *biesiady*) od Turków dopiero Słowianie przyjęli, na to dowodu najmniejszego niema. Ogółem, niema prawie żadnych pożyczek turskich w prajęzyku słowiańskim; germańskie za to są,—ile chcecie. Wpływy koczownicze, najazdy i grabieży jądra Słowiańszczyzny nie dochodziły nigdy; cierpiały pod nimi tylko krainy t. j. ukraińskie, pasma graniczne. Znamy przecież

stosunki ruskie: komuż płacono daniny? Chazarom i Normanom a ci koczownikami nie byli; wybierali przez baskaków swoich czynsz od dymów i nie troszczyli się więcej o Słowian i ich bydło. Pieczeniegi zaś i Połowcy tylko pas nadgraniczny niszczyli. Dwuwarstwowość żupanów i smardów uznamy, ale tylko jako kontrast szlachty i chłopów (np. u Bułgarów, których żupanów Borys przy przyjęciu chrześcijaństwa po największej części wygładził), nigdy zaś jako pasterzy i rolników, z wręcz przeciwnymi interesami. Nie przyzwalamy jednak, jakoby najdawniejsze pożyczki germańskie u Słowian były przedgockimi, dolnoniemieckimi; znaczny ich szereg jest wyraźnie gocki, chociaż z szermeniem się chrześcijaństwa (od Gotów u Słowian! to coś w rodzaju bajek ks. Czajkowskiego) nic niema wspólnego. Czyż znamy zresztą język gocki? Znamy przecież tylko jedno jego narzecze, właśnie to, co od Słowian najdalej odbiegło, zachodnie, nie wschodnie gockie, Hermanrykowe.

Między swoich żupanów a smardów wciska Peiskera, odsądzając Słowian od wszystkiego, nordyjskich wikingów, t. j. wiciędzów, witeziów, z obczyzny ludzi i imię ich wywodząc. Najsolenniej i temu przeczmy; witezie istnieją oddawna, gdy o wikingach ani słychać było; termin to prasłowiański, a wywód z obczyzny—Miklosiczów—jest fałszywy. Zagadka chłopskiego pochodzenia dynastyi Przemysłowiców i władzy książęcej Korutańskiej, sformułowana ostro, lecz nie rozstrzygnięta: Uderza tu, dlaczego autor milczy o chłopskim pochodzeniu Piastowiców? Czyżby wahał się dla Polski przypuszczać również zwycięską rewolucyę chłopów-smardów, co się żupanów-pasterzy pozbyła? Chłopskie pochodzenie Piastowiców, trudny to orzech do zgryzienia, lecz analogia z Przemysłem nasuwa się sama: ani od piastunów—majordomów, ani od atalykatu nie rozwiążemy jej przenigdy; samo przesuwanie zagadki na pole takich instytucyi jest metodycznie fałszywe, bo przypomina miałki racjonalizm XVIII-go wieku, albo ów krótkowidzący euhemeryzm grecki, co z Jowisza istotnego władcę kreteńskiego, lub z Wenery piękną panią urabiał. Moźnaby tylko posądzać tradycyę polską o poprawkę czy sfalszowanie w tym kierunku, że,—wbrew Czechom, co samego chłopca Przemysła za księcia wystawiali—dopiero synowi chłopskiemu, Siemowitowi, i to po powolnym, stopniowym awansie, dostęp do władzy torowała, już w imieniu jego jakąś wróżbę na przyszłość upatrując.

Porusza więc praca Peiskera mnóstwo pytań i wątpliwości; oświecla przedmiot ze strony, o jakiej dotąd nikt nie myślał; toruje drogę energicznie, może ze zbytnim zapałem, co na jednostronność wykładu wpłynęło; trafnych domysłów, np. o iranizacyi turskich

Scytów, o żupaństwie styryjskim, albo komu to smard słowiański śmierdział, najciekawszych analogii, niespodziewanych kombinacyj znajdziesz podostatkiem. W pracy Peiskerowej wiadomości historyczne, z kronik, dokumentów itd. czerpane, uzupełniają się wywodami filologicznymi i etnologicznymi—tylko archeologii nie wzywał autor na pomoc. Dlatego przeciwstawiliśmy jego pracę i dzieło Niederlego książce prof. Czermaka, wysuwającej archeologię całkiem niesłusznie na czoło; wykazaliśmy, jak głęboko argumentami filologicznymi docierać można; chodziło o zasadnicze załatwienie sporu, o przywrócenie filologii słusznych jej praw i znaczenia dla dziejów pierwotnych. Innych stron książki prof. Czermaka umyślnie nie tykaliśmy; nie wyczerpaliśmy nawet jej etymologii, a to, co przytoczyliśmy, wystarczyło chyba na uzasadnienie naszej tezy.

A. BRÜCKNER.
